



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

PLAMY NA SERCU.

Gdyby po za wiarą, którą wyznaje, była dla mnie możliwość jeszcze jakiego kultu, oddawałabym cześć boską — słońcu, tak uwielbiam jego światło, Kocham ciepło, podziwiam porządek, szanuję mądrą słowność, lubię to niezmiennie wesele, z jakim wędruje po niebiosach, budząc życie w przyrodzie i pogodę w duszy człowieka. Cóż, kiedy ludzie mi mówią, że na słońcu są plamy! Wiedza to potwierdza, a wieki są świadkami. Te plamy, to ma być wygasanie, prowadzący do zupełnej ruiny słońca. Gdybym ten pewnik miała wziąć do serca, obrzydłoby mi słońce. Ale ja wolę pewnikowi przeciwstawić drugi pewnik, to jest, że wszechświat ciągle się odra-pewnia, i gdy jedno gdzieś gaśnie, to w innym miejscu nowe, młode słońce się rodzi i słoneczna idea, idea bez plamy wygasania — trwa wiecznie. Tamtych słońce, nowonarodzonych, kołysanych w błękitnych kolebkach bezmiaru, ja widzieć nie będę, a wzrok mój w doczesnych warunkach ziemi zamknięty, będzie zawsze kierować się ku temu już słońcu z tym smętnym niepokojem: czy to prawda — te plamy?.... Więc szukam innego siedliska światła i ciepła, wierności i porządku, w którym patrzeć mogła spokojnie, bez obawy zawodu. I widzę ognisko dawne jak świat, wypróbowane wiekami doświadczeń, dające życie wszystkiemu co dobre i piękne, lejące ciepłą i jasną pogodę w mroczne szlaki ludzkiego przeznaczenia...

I gdybym jeszcze jeden kult wyznawać miała, stałabym się fanatyczną hołdowniczką — serca. Wszakże w niem jest początek wszelkich uczuć,

od cichych, niewidzialnych, codziennych, do rozgłośnych i bohaterskich, które stanęły na rozgraniczu ludzkiego postępu. Serce kochające kazało Ewie iść za Adamem, gdy mu przypadł ciężki los pracowania na ziemi w pocie czoła; żarliwe serce kazało Abłowi najpiękniejszy plon dawać w hołdzie Bogu; dumne serce Józefa odrzuciło pokusy pięknej Putyfary; tklive serce królowny egipskiej skłoniło ją do uratowania plecionej kolebki Mojżesza na wodach Nilu; potężne serce tegoż Mojżesza wytrzymało osobisty grom Bożego Zakonu, byleby go rzucić ludowi, błakającemu się na pustyni pogaństwa; ogniste serca proroków wytrzymały prześladowanie dla dobra narodu; wielkodusze serca Leonidasa, Joanny d'Arc, Sobieskiego, broniły posterunków ogólnoswiatowych przed nawałą barbarzyństwa; rycerskie serca zatknęły krzyż w Jerozolimie i założyły pierwsze misye w Afryce i w Chinach i te same serca walczyły dziś z ciemnotą ludu, z jego nieufną hardością, z nędzą robotnika, z krzywdą niemowlęcia, z niemocą starca, z niedolą młodzieży, z upośledzeniem kobiety i nawet z dręczeniem zwierza i tępieniem rośliny. Ten płomień wielki walczy ze wszystkim co złe i wstrętne i skalane i zimne, musi więc sam być bez zmayı, bez zarzutu, bez — plamy!

Temu serdecznemu słońcu chyba już nie do zarzucenia nie ma? Ale odrzućmy olśnienie, odsuńmy na chwilę dobroczynny wpływ jego, wyrwijmy się z pod czaru i spojrzmy na nie mikroskopowem spojrzeniem nieprzejednanego sędziego. Al! I tam są plamy. Drobne, niewidzialne, ale są. Nie wyczerpują one serca, nie studzą jego żywiołu, nie zbijają go z tego olbrzymiego światowego szlaku szerokiego na ludzką całość, ale jednak istnieją i są nam odwiecznym dowodem skazitelnosci, ludzkich, choćby najwznioślejszych rzeczy, jak owo piętno pierworodne, dane człowiekowi na zadatek nieustannego boju ze złem w samym sobie. Słońce się nie wyleczy

z plam swoich, bo swój element tylko stopniowo spala, ale serce musi ze swemi plamami wojować, bo ma zdolność przeistaczania się w swej istocie, wyszlachetniania swoich żywiołów i pozbywania się wszystkiego, co jest w niem naleciałością czy nabytą, czy dziedziczną, czy rozplenioną przez lekkomyślność lub lenistwo. Ludzi, których serca są bez żadnej skazy, spotyka się na świecie, lecz rzadko i najczęściej o nich się nie wie, że to właśnie oni, bo choć to są ludzie nadzwyczajni, ale tak prości, że się na razie nie odróżniają od ogółu i odróżniać nie chcą. Lecz my tutaj chcemy mówić o ludziach dobrych, szlachetnych i sumiennych, którym jednak czasem coś się tak w sercu zarysuje, coś tak zagnie, tak odrobinę spaczy i skrzywi, że tego napozór nie znać, ale są jednak tacy bliźni, którzy to odczują, a też jest taka zmarszczka czasem na sercach, o której istnieniu one same tylko wiedzą i wstydzą się za nie przed Bogiem.

Musimy się dokładniej przyjrzeć tym zaćmieniom słoneczności serca, zaćmieniom niby lekkim jak mgła, przez którą przecież mającą kształty siedmiogłowej hydry grzechów głównych.

Pycha, ta najbardziej ślepa z namiętności, owłada dusze nawet bardzo proste, miłosierne, czujne na ludzką nędzę i mające zapas niewyczerpany pociechy dla cierpień nawet ludzi obcych. Człowiek taki da pomoc biedakowi, odwiedzi sługę w szpitalu, rzuci znaczny datek na cel ogólny, bez dania swego nazwiska, na ulicy nie odmówi osobistej usługi nędzarzowi lub choremu; w słonecznej jego dobroci niby wszyscy są pocieszeni, — ale ma malutką plamkę pychy na tej dobroci: — wstydzi się swoich biednych krewnych, zerwał z nimi, czego oni od niego chcą, kiedy on tyle dobrego dokoła świadczy, jeszcze oni! sam jeden nie może całego rodu utrzymywać, wszystkich na nogi stawiać, niech mu dadzą spokój i nie kompromitują go bezu-

stanku jednobrzmiącym nazwiskiem. Więc też omija ich, nie przyznaje się, unika, ucieka nieledwie i gniewa się, gdy go los zbliży i oko w oko postawi z krewnym, który przecież ma takie samo prawo do jego serca, a w gruncie daleko większe niż owe instytucje, popierane tak ofiarnie, owi nędzarze z samarytańską litością zbierani po ulicach i owe cele, dla których się posyła datki, z pokorną literą niewiadomej: X... To złote serce ma w sobie miedziaka pychy, a miedziak ten rośnie i gdy mu się uda, a czasem gotów po bryłce dukatową wartość tego zacnego człowieka strasznie zrujnować i obniżyć walory jego charakteru. Wskazuję na tę jedną plamkę pychy. Jest ich więcej—ile!

Dalej oto człowiek (mężczyzna czy kobieta, to jedno, o ludziach mówię) rozumny, wylany dla rodziny, serdeczny, gotów się zawsze wyrzec wszystkiego dla żony, dla dzieci, blizkich, myśli o przyszłości każdego, nocami siedzi przy łóżku chorego, troska się o rozwój duszy dzieci, o dobre imię domu, o zachowanie rodzinnego gniazda, rodzinnego kawałka ziemi i ma ogromne zasługi przez swą pracę, zasady, wytrwałość i przykład jaki daje... ale ma drobną plamkę—skąpstwa na tych zasługach, że tak powiem lokalnych, prowincjonalnych, bo oprócz domu i rodziny, nie go nie obchodzi, ogólne interesy społeczeństwa i rozwój idei i grosza by nie dał nikomu i na nic; on ma dzieci, po co mu ludzkość, a mógłby dać, bo ma; nawet na miejsu, co utworzy dobrego, to dla siebie, nigdy dla drugich, „nie darmo,“ to jego zasada, i choć zacny, poczciwy, porządny człowiek, ludzie go nie kochają, a często fałszywie sądzą, bo nie znają bliżej, on ich też znać nie chce, więc „nie lgnie do niego fala, ani on do fali,“ złote ogniwo jego duszy obsunęło się w wzajemnego łańcucha i choć złote, ale zamknięte w sobie, zaciśnięte, skape, bez tej spójni bratniej, wylanej a mądrze hojnej, która rzuca w uścisk wzajemnych uniesień, smutków i walki tych, którzy wspólnie żyć, czuć, cierpieć i wspierać się pragną i umieją.

Są natury bogate, bardzo wrażliwe, chciwe użycia wszystkiego, i tego co wielkie i tego także co mniejsze i nawet małe; niedość im na wielkich uczuciach, które dają szczęście i spokój i cel życiu, gonią jeszcze za drobniejszymi, które migocą ponętnie i bawią, niedość im kłosów życiodajnych, jeszcze zbierać chcą jaskrawe kąkole, na które szkoda czasu i siły. Serca nawet bardzo gruntowne, pełne po brzegi miłości dobrej, uczciwej i niewzruszonej, bawią się jednak niebezpieczną grą towarzyską—flirtem. Zdaje mi się, że flirt nie z serca płynie, tylko z wyobraźni i ze zmysłów, niby to bardzo poskromionych, bardzo potulnych a jednak tętniących motylowymi skrzydłami i gotowych do rozbijania za lada ciepłym pokusy powiewem. Ale flirt szkodzi sercu, i choć go może nie podkopuje w zupełności, to przecież powleka je jaką mgłą, która gęstniejąc, z czasem przekształca się w ślepotę, w zupełną kataraktę prawdy tak, że już sami plam tych nie widzimy. Powiedział jakiś autor, że flirt jest grzechem uczciwych kobiet, powiedzmy uczciwych ludzi, bo przecież to jest nie gra w solitera, lecz gra we dwoje zawsze, co gorsza, to jest najczęściej gra z wieloma, a kto ją lubi i uprawia, staje się ona zabawką ze wszystkimi. Flirt broni się zawsze tem wyrażeniem: a przecież trzeba żyć z ludźmi, nie można siedzieć jak mumia, każdy chce być trochę wesołym i swobodnym w dobranem towarzystwie. Naturalnie, że to wszystko jest koniecznym, ale dla czegoś jedni drugich mają zaraz przy tem tumanić brzaskami tego, co się nigdy ani zorzą ani słońcem stać nie może.

Początek każdego uczucia jest bardzo miły, rzewny, poetyczny, więc się ludzie wzajemnie, zalotnie drażnią tymi uczuć początkami i w switowym półblasku miłości piją rosę, która jak woń tuberozy odurza, narkotyzuje, aż głowa silnie rozboli. A kiedy flirt dojdzie do granicy, poza którą jużby się nazywał inaczej, stają współwinni naprzeciw siebie w przykrem usposobieniu zawodu, oskarżając się wzajemnie, wyszukując kto zaczął i kto winniejszy, a ów różowy początek miłej zabawki staje się gorzkim końcem pomyś-

ki psychicznej, jakim jest każde uczucie z fałszywej wziętej strony. Flirt nie prowadzi nigdy do szczęścia, a że ludzką serce lubi stany pełne i wyraźne, choć lubuje się nieraz przejściowymi, więc flirt przerzuca się w drugą ostateczność i chwytą się zemsty, — zemsta z niepodniesłego płynąca uczucia musi być podrzędna, więc staje się w tym wypadku—obmową, która, gdy się roznamiętni, nie zna już żadnych granic, i z przelotnej lekkomyślności towarzyskiej, kuje pociski przeciw dobrej sławie bliźniego. A jednak tyle serce niby świadomo siebie dopuszcza tę plamkę flirtu na sobie i nie pozbywa jej się stanowczo, jak ów nowonawrócony Rzymianin, który modlił się już żarliwie w katakumbach lecz w kąciku swego atrium schował malutki posążek Penatów nie mogąc się odzwyczaić od bałwochwalczego cacka. Nie ma prawie serca, które by nie posiadało pewnej takiej tajemniczej komórki zamykającej jakąś pogańską słabość, jakąś garstkę prochu ziemskiego, jakiegoś złe ziarno co się rozrasta i niepokoi, jakiegoś zarazka co kusi i zwodzi. A jednak ten marny drobiazg taki jest potężny, że tworzy nawet na kryształach serc ludzkich—plamy.

Podobno mamy dusze bardzo mężne; — ale na codzień—wyznajmy—jesteśmy wprost nieznośni z naszą niecierpliwością, wybuchowym gniewem o byle co, z łajaniem o byle za co, z czynieniem co chwila z muchy jelenia, z podnoszeniem do potęgi czegoś ważnego, co jest tylko drobiazgiem i słabością, słowem spadamy z wyżyn wytrzymałości na poziom najpospolitszych swarów—sto razy dziennie.

Wiedzą o tem sługi niecierpliwych pań, wiedzą robotnicy u modniarek, wiedzą czeladnicy u majstrów, urzędnicy mniejsi u wyższych zwierzchników, uczniowie u profesorów, dzieci takich popędliwych rodziców, i ci wszyscy, którzy gniew wyżej postawionych osób znosić muszą. Ale znoszą też tylko do czasu. Powstaje w końcu pomruk niechętny, potem rozdrażnienie, a w końcu starcie, bynajmniej nie wzniosłe, a gdy chodzi o uczniów i dzieci—fatalne. Niezawodnie, że podwładni nadużywają cierpliwości władzy, i czasem gromkie słowo jest koniecznym potrzebne a nawet najrozumialsze, ale gdy zwierzchnicy ciągle gderają, ciągle ganią, ciągle coś wytykają i kłują ostremi wymówkami, to od tego gradu tak się obniża życzliwa wzajemna temperatura, że spokój spada niżej zera i czyni się coś takiego czego znieść nie można.

Ludzie to dobrze czują, że tak jest, chcieliby inaczej, a jakoś trudno się opanować. Panie tłumaczą się nerwami i zmęczeniem, panowie ogólnym socyologicznym nastrojem ludzkości, stanem ekonomicznym etc. wszyscy mają po trochu racji ale nie na tyle—żeby się nie móżd pochamować i nie roznamiętniać się tak o byle co. Nie ma na to lepszego lekarstwa jak wyobrazić sobie, że się jest wtedy śmieszny, bo to plac boju strasznie małeńki, my wyrastamy w gniewie na Goliata, malutki Dawidek przyczytny stoi przed nami a my jednoocy, bo zaślepieni przeceniamy jego zaczepki drobnego kalibru i miotamy się jak w równej walce tytanów. Po takich utarczkach jesteśmy z siebie niezadowoleni, bo spadliśmy w własnych oczach z własnego należącego nam poziomu, straciliśmy dużą dozę uroku spokojnej wyższości wobec przeciwnika i zamiast nabrać powagi, podkopaliśmy wiarę w tę istotną wartość jaką mieć możemy. Ileż serc złotych, ileż umysłów niepospolitych ma te plamy niecierpliwego gniewu na sobie i wyrzeka na temperament jak na złego ministra, który psuje szyki drobnymi przegranymi i brakiem taktu. A jeśliby nam już o własną doskonałość nie chodziło, to pomyślny, ile my przykości czynimy ludziom tym brakiem panowania nad sobą i jak my szkodziśmy pojęciu o szlachetnym człowieku, skoro nim będąc tak nim tylko częściowo jesteśmy.

Ten dobry człowiek ma i inne jeszcze usterki, które pozwalają ludziom o nim mówić: poczciwy, prawy, cóż... kiedy... Kiedy on taką wagę przywiązuje do jedzenia, do picia, do wykwentów stołu, doboru potraw, lubuje się w nich jakby w dziełach

sztuki, opowiada, smakuje, częstuje znających się na tem gości i traci czas i pieniądze na najpodrzedniejszą przyjemność jakiej człowiek używać może. Mężczyźni wybredzają w napojach, zwierzyńcu, cygarach, kobiety w cukierkach, owocach, przysmakach—a ten cały zbytek szkodzi zdrowiu i poniża ludzką naturę stworzoną do prostoty, uniarkowania i prawidłowego porządku. Jakże przykrym jest widok łakomców i wybredników, którzy nieraz są ludźmi wielkiej wiedzy i zasług niemających i świetnego umysłu, a stają się niewolnikami potraw nazywając je w zdrobniały i pieszczotliwy sposób budzący odragę i do potraw i do takich biesiadników. Niby to mała plamka, nikomu nie szkodzi, a jaka wstrętna i jaka nudna, jak odpychająca od ludzi, którzy zkaład budzą zupełnie inne uczucie, jednak całkiem ich szanować nie można... bo... cóż... kiedy...

Jest jedno uczucie, które jeśli oładnie duszą ludzką w pełni swego żywiołu, to wiedzie do strasznych rzeczy i tragicznych końców, jeżeli na mniejszą skalę—to jest brzydką bronią wzajemnego szkodenia sobie w życiu, a jeśli jest tylko plamką na sercu, to straszliwie niepokoi wewnętrzną jego ciszę i zatrzuwa najskrytsze jego tajniki. To zazdrość. Szatan zazdrościł pierwszym ludziom i wypędził ich z raju swą przebiegłą intrygą. Kaim zazdrościł Ablowi i zabił brata, Sara wygnała Hagarę z malutkim dzieckiem na puszcę, Balladyna zabiła siostrę; w codziennym życiu — sławnego poetę obmawiają mniejsi, człowieka bez skazy szarpia nieponie, kobietę piękną i dobrą obgadują złe i brzydkie, ludziom pracy szkodzą próżniaki, ludzkiem statecznym wchodzą w drogę duchy niepokoju, a to wszystko razem wytwarza całą trudność życia z ludźmi.

Ale jeśli zazdrość ukryta w głębi serca niczem się nie zdradzi i tylko wewnętrzne ostrze w sercu obraca i drażni, rani i boli, i szarpie tą tajoną niechęcią ku bliźnim, którzy są szczęśliwsi albo lepsi, albo więcej uznani, albo więcej kochani to wyrabia się wewnątrz taki trujący zły kwas, że nawet złoto czernić zaczyna i plama zazdrości wryza się coraz głębiej, dusza rdzewieje i spotykamy ludzi, którzy wprowadzie nikomu nic złego nie wyrządzili, ale chodzą wśród bliźnich jacyś niechętni, odpychający, rozgoryczeni i coraz dalej odludną swą drogą wędrują jako kwaśni tetrycy, zjadliwi weredycy w towarzystwie, sami smutni i strawieni w sobie, zawsze niezadowoleni z losu, który ich rzekomo ukrzywdził i nigdy nie znajdujący w samych sobie dość miłości bliźniego, tej wewnętrznej, na samym płomieniu opartej, aby się cieszyć z drugimi i czuć, że „nektar żywota natenczas słodki, gdy z innymi podzielon.“ „Niebiańskiego wesela“ nie dostapia, bo nie wiąże ich serca z sercami ludzi ta nie złota bez żadnych syplów i płatany, po której biegna ku sobie dusze otwarte, szczere i w pełni słoneczne.

A nakoniec, są plamy wewnętrzne, o których sami tylko wiemy, które w niczem nie dotyczą już ludzi, a występują na powierzchni serc przez lenistwo ducha, ospałość uczucia, sennosć naszej woli i zastój energii. Wypełniamy niby nasze obowiązki, ale nad sobą nie pracujemy jeszcze osobno, żeby przecie podnosić się coraz wyżej i wyżej, żeby się wykrystalizować psychologicznie, żeby mieć coraz więcej światła w sobie i coraz więcej pewności celów i dróg naszych na ziemi; myśli naszych nie wznosimy tak wysoko i prosto, aby utrzymać były w stanie „tęczową kopułę“ duszy, uczuć nie wypalamy tak dokładnie, mądrze i cierpliwie, aby sam czysty płomień się palił, lecz pozwalamy przez opieszalność, aby żużel i popiół zalegał ognisko i dusił je i zadymiał czystą uniesień atmosferę; wyobraźni naszej nie podnosimy ku rzeczom wielkim i zamiast żeby ognistym wozem proroka pędziła w górę za tem co wzniosłe i trudne, ona się płacze tuż przy ziemi, przy zmysłach, przy malowankach jaskrawych i drażniących, przy złych książkach i lichych sztukach w teatrach i zciaga nas całych coraz niżej tak powoli, że tego nie czujemy, bo wola nasza słabnie w obojętności i siła bez walki

POGAWĘDKA.

„Ostatni termin opłaty wpisów szkolnych upływa d. 13 Października. Na liście zagrożonych wydalaniem mamy tylu a tylu uczniów i tyle a tyle uczennic szkół rządowych i prywatnych. Ogółem potrzebna jest suma taka a taka. Jeśli zatem po dzień 13 Października nie wpłynie suma rb. dwa, trzy tysiące, nieszczęśliwe dzieci, uczące się częstokroć o głodzie—*będą wydalone.*“

Takie ogłoszenia, z mniej więcej wyżej podaną sumą, rok rocznie podają „Kuryery, zwracając się do miłosierdzia ogółu, przemawiając w imię dziatwy, „która z niepokojem i ze łzami“ oczekuje naszej pomocy.

O ile wiemy, ogół tego grosza nie skąpi i nie odmawia pomocy. W ostatniej chwili wyrównywa się żądana suma, wpisy są opłacone, lzy biednej dziatwy otarte.... na całe miesiące sześć. Z rozpoczęciem się roku szkolnego, a nowego półrocza wpisów, powraca dawny niepokój i dawne lzy, a na szpaltach kuryerów i innych pism codziennych pojawia się liczba dzieci, nie mogących wnieść za naukę opłaty, suma potrzebnych pieniędzy, mniej więcej kilka tysięcy rubli wynosząca, wymieniony termin opłaty, po którego upływie, nieszczęśliwe dzieci, pracujące o głodzie i chłodzie—*będą wydalone.*

Jak wspomnieliśmy, ogół najczęściej zadość czyni wezwaniu prasy. Być może, że się znajduje czasami pewien niedobór, że czasyle lzy zostaną nieotarte, że kilkoletnia praca jakiegoś dziecka została przerwana, jego i rodziców nadzieje zawiedzione, — lecz trudno już o to wnieść społeczeństwo, zresztą takie miłosierdzie nie zawsze jest równomierne, dziś silniej, jutro mniej silniej wzbierze, dziś nurtem więcej wartkim, niż jutro popłynie. A są jeszcze kolonie letnie dla dziatwy wymizerowanej, są wydatki na odzież dla „bogich i innych potrzebujących, którym zadość uczynić społeczeństwo nasze musi.

Trudno tutaj określić, co jest potrzebniejsze: czy nauka, czy zdrowie, czy odzież? Wszystko to się dziwnie razem łączy i rozdziału nie znosi. Bez odzieży — nie masz zdrowia, bez zdrowia — nie masz nauki, bez nauki brak filaru, na którym gmach danego społeczeństwa się opiera. Potrzebna więc jest i odzież i wyjazd dzieci na kolonie letnie, potrzebna jest i nauka.

Trudny wybór!

Z trojga jednak złego czy dobrego — pierwszeństwo damy nauce.

Mieliśmy nieraz zrzęcnosć zajrzeć do suteryn i na poddasze, gdzie blada twarz dziecka pochyla się nad łacińskimi ćwiczeniami, lub nad wypisami trudniejszych słówek z francuzkiego lub niemieckiego języka. Przed paru dniami odwiedziliśmy zakątek taki. Było tam dzieci kilkoro i lat średnich matka—wdowa, pracą rąk własnych utrzymująca rodzinę. Najstarszym z dzieci był chłopak, uczęszczający do jednego z zakładów naukowych na Krakowskim Przedmieściu. Nie blizką miał drogę, bo biedactwo mieszkało niedaleko Wolskich (dawniej) rogatek. Dzieciak uczył się nieźle, a uczyłby się dobrze, gdyby czasami z głodu coś mu nie burknęło w środku, gdyby rodzeństwo młodsze rozumiało, że krzyczeć nie można, gdy na pamięć uczy się słówek łacińskich, ale dwuletni braciszek i trzyletnia siostrzyczka bez właściwego dziecięciu koncertu nie mogą się obejść, a tu i macierz na jakąś godzinę z domu wyjść musi po robotę lub odnosząc robotę, zdając przez ten czas swojej nieobecności opiekę nad młodszą dziatwą najstarszemu w rodzinie, zajętemu gramatyką łacińską. Ot i znowu przeszkoda w nauce, potrzeba więc kawałek nocy przesiedzieć, a tu sennie oczęta się mrużą, bezmyślnie powtarzane wyrazy utrzymać się w pamięci nie chcą. W stopniach więc naukowych po za trójkę wnieść się nie sposób, czasem i dwójka się wplącze, przeskadzając biedakowi w zwolnieniu od wpisu.

W chłopcu tym jednak matka widzi przyszłość młodszego rodzeństwa i — zabezpieczenie sobie spokoju na starość. Nie mów jej nic o koloniach letnich, — to dobre, ale jeżeli nie można, to nie można, a nauki niech kończy; zwróć uwagę, że ubrańko wiatrem podszyte, — cóż robić, nie stać na szynel cieplejszy, chłopak zdrowy—wytrzyma, ważniejszą jest rzeczą opłacenie wpisu. I cała myśl biednej pracownicy jest tylko tym wpisem zajęta. Uwolnić od opłaty swego malca nie mogła, bo powiedziano jej, że uczy się niezbyt dobrze; a dla czego tak się uczy, już wiemy. Pierwszeństwo mają biedni z dobrymi stopniami. Wystawmy teraz twogę takiej matki twogę dwa razy do roku powtarzającą się, gdy przyjdzie chwila opłaty wpisu. Dziś grosz potrzebny zebrała,—lecz jutro?... Wniwecz obrócić się może wysiłek lat tylu, nadzieja, którą żyła, zamienić w rozpacz bezgraniczną.

Dla czego o tem piszę?

Dla tego, że dobroczynność publiczna, nie ujęta w stałą jakąś formę, zapobiedz tej nędzy nie potrafi. Społeczeństwo powinno to zrozumieć i nie czekając na ofiarodawców, którzy robią zapisy na kościoły i inne instytucje, złożyć ze 200,000 rb., od których odsetki szłyby stale na wpisy dla tych biednych dzieci, uczących się o głodzie i chłodzie.

I byłby to pomnik za te paręset tysięcy rubli miłosierdziu wystawiony pomnik, któryby rok rocznie paręset dobrych obywateli krajowi przyniósł. I nie czekano by z niepokojem i ze łzami na dzień 13 Października i uciekłyby twoga za lasy i góry o los uczące się dziatwy.

Ktoś obliczył, że jednoroczny obrót totalizatora mógłby dać w ręce ludu trzydzieści milionów tanich książeczek; ot, i pieniądze by się znalazły, gdybyśmy byli nie w szumnych frazesach, lecz w czynach „patryotami.“

Pieniądze u nas są, brak więc chyba dobrej woli. Nie — i dobra wola jest, więc czego brak?... Jedno z dwojga: albo serca, albo rozumu.

Nie od dzisiaj już na kartach tego pisma podnosiłem *kwestję wintową*. Tak—*kwestję*, bo ta zaraza moralna rozszerzyła się w sposób tak zastraszający w kraju naszym, że stało się już *kwestją*. Dla winta poświęca się praca przy roli; dla winta zaniedbują się obowiązki rodzinne; dla winta mąż żonę opuszcza tak często w ciągu roku, że gdyby zechcieli te dni niewidzenia się swojego porachować, z pewnym strachem ujrzeliby może, że żyją w rzeczywistej niemal separacji; dla winta zresztą, wysoko zawsze ceniony dom wiejski, staje się wprost domem gry, do którego każdy kart amator wstęp ma wolny. Otrzymywane listy przez pisma nasze z różnych zakątków kraju, dają jaskrawy obraz tego moralnego zatrucia, a zaraza się rozszerza, a fala nieszczęść nie cofa się, brzegi się rwą, tam nie ma, cichy ale nieunikniony, straszny jak konieczność, zalew się zbliża. Oto przytaczamy wyjątek z listu pewnego: „Tutejszy lud wiejskiimiejski dąży do oświaty. Cóż jednak pomogą dobre chęci ze strony pragnących światła, gdy już w samym zaczątku brak kierunku i wskazówek. Inteligencja tutejsza ma jeden, jedyny sposób przepędzenia czasu—przy zielonym stoliku.“ I dalej: „Dziś, gdy zadanie w obec zaprowadzenia kuratorium trzeźwości z możliwością otwierania herbaciarni ludowych, z czytelniami, bibliotekami i odczytami lub pogadankami, mającemi oświatę na celu—jest ułatwione, należałoby skorzystać z tego, idąc z pomocą łaknącym oświaty i wiedzy. Potrzeba tu, oprócz inicjatywy, poparcia i współdziałania jednostek inteligentniejszych, które, niestety! —czas, a zwłaszcza energię marnują, emocyjując się przy kartach. Inicjatywę musi podjąć koniecznie ktoś z przodujących pod względem stanowiska i zaangażowania urzeczywistnienie myśli, gdyż inaczej robotę, zamiast poparcia, spotkać może przeciwdziałające szyderstwo.“

Trudno nie przyklasnąć tym słowom... Inicjatywę musi podjąć ktoś mający stanowisko... Ale co począć, gdy ten *ktos* mający *stanowisko*, ulega także pasyji wintowej i zanudził się na śmierć bez tej gry szlachetnej?... Sprawę tę kto inny w ręce swoje wziąć powinien i to z całym poczuciem ważności obowiązku, z całym przeświadc-

i trudu usypia, strawiona sama w sobie bez pożytku i postępu.

Jesteśmy bardzo niby porządni ludzie, ale tacy jacyś maleńcy, bez haseł, bez wybitnego szlaku, bez umocnionego zdania, tacy bezbarwni, chwiejni i karzelkowaci, a do tego zasłepieni do tyła, że uważamy nasz stan ducha za jakąś wyżynową, dystygnowaną neutralność, a jest to tylko małość i mierność i nic więcej. Mało może jest ludzi, którzyby choć pół godziny dziennie poświęcili wyłącznie tylko swej własnej duszy i przymknawszy oczy, stawiali się sami przed sądem, jaki brzmi w każdym sumieniu i wyrokuje bardzo trafnie i bardzo sprawiedliwie nad pracą wewnętrzną człowieka. Mało kto pamięta o tem, że dusza jest tu przysłana na naukę na ziemię i musi się bez ustanku rozwijać, kształcić, wzbogacać, dojrzewać, a gdy tego nie czyni, to dziecinnie, słabnie, brzydnie i gaśnie. Ogromnie do grzech te drobnutkie plamy na sercu, od których dusza ciemnieje, wędnie i gaśnie, to największe, jakie być może — lenistwo w służbie bożej. A przecież i te plamy są.

Wszystko jednak na świecie, na ziemi, na niebiosach, w myślach, w morzach, w uczuciach, w wulkanach, w namiętnościach, w burzach, w natchnieniach, w słońcach, w sercach, wszystko jest w ruchu, w przetwarzaniu się, w rozwoju, w postępie, w coraz czystszej krystalizacji i piękniejszej doskonałości, a na tej osi wszechruchu obraca się ciągle i człowiek, i jeśli on jeden świadomie kocha, cierpi i dojrzewa duchem, to i on w końcu jedynak w stworzeniu bożem sam w sobie przetopi ogniem serdecznym swesказы i przepali pracą te plamy, które doczesność mu kurzem przelotnym na serce rzuciła.

Szczęсна.

Do....

Ja się nie skarzę, chociaż sama jedna
Z sercem rozdartem idę w dal sieroca,
Choć bezlitośnie odepchnięta, biedna,
Choć życie moje ciąglą ciemną nocą!

Choć mię wtrąciłeś w tę otchłań bezdenną,
Choć w proch rzuciłeś i zdeptałeś na nic,
Ja się nie skarzę, bo miłość jest ze mną,
Ale mi smutno, ach smutno bez granic!

Ja się nie skarzę, nie przeklinam ciebie,
Choć szczęściu memu byłeś strasznym katem,
Choć odtrąciłeś mię chłodno od siebie,
Jak byłeś—będziesz moim całym światem!

W milczeniu znoszę katusze, cierpienia,
Lzy bólu cicho na dnie duszy zdławię,
Chociaż stargałeś jasne sny, marzenia,
Ja ciebie nie klnę,—ale błogosławię!

Zofia Biesiadzka.

Lwów.

zeniem o konieczności ratowania zagrożonego społeczeństwa obłędem głupim, z całą furją, że się tak wyrażę, wydanej walki. Dzieła tego dokonać mogą tylko kobiety; krwi się niewiele poleje, będzie sporo zgrzytań i zaciskań pięści; dzień, dwa może domowego piekła, ale te kolce okupione zostaną zwycięstwem dobra, uratowaniem, jeżeli już nie schodzącego, to wchodzącego w życie pokolenia od ogłupiania się nad kartami, od poświęcenia wszystkich spraw ważnych dla marnych wintowych kombinacji.

Zdziwicie się może panie, że do was się zwracam.

Co my możemy? spyta niejedna z was. A jednak wiercie mi, że wy jesteście sercem społeczeństwa, że przez wasze serce krew jego przepływa, że wola wasza może być tak silna, jak potok skalny, żłobiący sobie przejście w granicę.

Wzywając was do wypowiedzenia walki wintowej epidemii, nie myślcie, że was wzywam do rzeczy łatwej, nie myślcie, że ta walka obejdzie się bez poświęceń pewnych, trudów, bólów nawet. Gdzie uśmiech podziła, tam działajcie uśmiechem, gdzie upór—uporem, gdzie groźba—groźbą. Nie—ja wam pokoju nie niosę. Jawnie, otwarcie do walki wzywam zaciętej, długiej, niemiłej częstokroć, — ale zwycięstwo zostanie przy was, przy was będzie zasługa ogromna, żeście braci, mężów, synów wydarły z objęć karcianego potworu, a zacnych i pracowitych obywateli wróciły krajowi.

Ale to wszystko są słówka, słówka, słówka — powiecie. Jaki program walki zakreslić mamy, jakiej broni użyć, na czym polegać ma bój ten?

Nasamprzód, w działalności każdej potrzebna jest głównie cierpliwość, dalej niezrażanie się początkowymi niepowodzeniami, wzięcie bronionej sprawy gorąco do serca, nieschodzenie z raz wytkniętej drogi, odbierane razy przyjmować jako skutek walki, wierzyć w ostateczne zwycięstwo, które jest pewnym, jak słabość ludzka.

Ale przechodźmy do jądra sprawy.

Powiedzieliśmy, że do wyrugowania zła powinny wziąć się kobiety: panny, narzeczone, mężatki i matki. Przejdziemy więc pokrótce obowiązek i sposób walki każdej z tych wymienionych kobiet w porządku tylko odwrotnym.

Świętość imienia matki niezatarty zawsze ma urok. Siwa nawet głowa syna przed tem imieniem uchyli się nieraz. Tu *prośba* matki, w danym wypadku *wola* jej, jest wszystkim prawie. Wiemy jednak o słabości, jaką częstokroć matki dla synów mają. Ale ta idea, wyższa nad wszystko, bo szczęścia kraju, powinna wziąć górę. Niech matki nasze przypomną, że nieraz większych poświęceń od synów swoich wymagały, niż wyrzeczenia się gry w karty; niech też synowie nie zapominają o obowiązkach dla — *matki*. Może kochające serce matczyne zabołec nieraz, że musi, wytrącając karty z rąk syna, pozbawić go przyjemności, lecz niech nie zapomina, że to jest przyjemność nabyta, sztuczna, nie leżąca w naturze człowieka, że jest wprost, zrazu przyzwyczajeniem, później nałogiem, wreszcie grzechem przeciw społeczeństwu. Tyle pól leży odłogiem, tyle pól chwastem porasta, mówimy o tem, widzimy to, ale duch zleniwiwały, okarciały, że się tak wyrazimy, jak ślimak chowa się w skorupie złych nałogów, a tymczasem bieg wypadków nad nim przechodzi, i coraz głośniejszymi baltazarowymi wyrazami pisze. Kobieto-matko! źle się twój syn bawił! Na tobie obowiązek leży powiedzieć mu o tem, zagrozić, zabronić.

W pożyciu małżeńskim karty nieraz odgrywają rolę burzyciela domowego szczęścia. Miłość, łącząca zrazu dwojga ludzi, ostyga; mąż, oddany kartom, coraz bardziej oddala się od żony, żona w domu przestaje powoli być towarzyszką mężczyzny i gospodynią, lecz schodzi na stanowisko służki, dbającej, żeby co jeść i pić mieli goście pana męża, wysilający swój rozum nad rozegraniami *klasycznym* objawionego wielkiego szlema w bez atutu. Karty odbierają przywiązanie należne żonie od męża; odbierają chwile, które powinny być jej poświęcone; dla przyjaciół wintowych odmawia się nieraz towarzystwa swojej małżonki; gdzie szatan gry wchodzi, umyka

anioł harmonii dwóch serc, przygasa ognisko domowego ciepła, zapanowuje chłód, oziębienie, rozwód dusz i bywa, że żona ogląda się za innym ciepłem, bo próżnia w życiu zapełniona być czemś musi. A oto słyhać śmiech: to dwóch synków gospodarza, dwóch przyszłych obywateli kraju wesoło się bawią. Niejeden z gości zachwycony buzią rumianą chłopaka, na ręce go weźmie i asa pokaże. To żart. Ale dziecko tak się oswoi z tym asem, z tym wintem nieustającym, z tą kompanią graczy, że go już później namawiać nie potrzeba, by usiadł do zielonego stolika, usiadzie sam, wyda to mu się tak koniecznym, jak chleb powszedni. Przekonywaj że go młoda matka, że trwonienie czasu, na co innego danego, jest złem—płomień ci na twarz wystąpi, gdy odpowiedź posłyszysz: „A ojciec?” Ty jesteś osamotnioną, sługą lichą gości twojego męża, a syn twój nie wyrośnie na kraju obywatela.

Co więc masz robić?

Gdyś świeżo poślubiona, gdy jeszcze miłosne zachwyty trwają pomiędzy wami, masz wpływ, masz władzę. Nie pozwól, by w kącie salonu czy gabinetu stanął stolik o suknie zielonym; zwiąż męża swojego przysięgą, w razie oporu zagroź opuszczeniem domu, ale rób to z miłością, z przekonaniem w słuszność sprawy, w zło, które jest złem, mogącym się stać chorobą nieuleczalną. Jeżeli się zapóźno spostrzegła — masz zawsze władzę jako pani domu, masz władzę jako ta, która życie swoje i szczęście oddała w ręce ukochanego człowieka. Spokojną, ale niewzruszoną w postanowieniu naprawienia złego pozostaj. Gdy wincisci się zbierają, ty opuść dom na czas ich gościny. Będą gniewy, sarkania ze strony męża, ty przyniesiesz uśmiech, pieczętę, ale od swojego nie odstąp. Opuszczony raz i drugi, przybiegnie do ciebie. Kobieto-żono! Pilnuj serca swojego, z rąk swych nie daj wydrzeć praw żony i matki, a pamiętaj, że dom twój jest małą częścią ojczyzny twojej, że ziarno w nim posiane rozpleni się w kwiaty lub chwasty na wielkim, wielkim obszarze.

Łatwiejsze zadanie mają panny, i narzeczone. Na pierwszym lepszym zebraniu mogą i powinny odprowadzić młodzież od zielonego stolika.

Uprzejmość mężczyzny nie pozwoli być niegrzecznym. A gdyby który przeniósł karty nad towarzystwo panien, do którego zaproszony został, niech będzie pożegnany zimnym ukłonem i lekceważeniem, na które zasłużył. Na was więc także spoczywa, panny i narzeczone zadanie, ażeby was więcej kochano, niż kart talię, ceniono więcej, niż dziesięć w bez atutu, przekładano wasze towarzystwo nad towarzystwo nóg czterech stolika. Zaraza karciana jest już zbyt groźną, ażeby przez szpary można było na to zło patrzeć. Do walki więc was wzywam w imię własnego waszego szczęścia, w imię dobra pokoleń przyszłych, w imię miłości kraju, którego obywatelkami jesteście. Wejdźcie w siebie, zrozumieście doniosłość podjętej przeze mnie sprawy, uzbrojcie się w miłość, cierpliwość i upór szlachetny, a podziękuje wam przyszłość.

A teraz na zakończenie parę słów o teatrze naszym.

Otwarcie Teatru Rozmaitości nastąpiło przez wystawienie sztuki Moliera i jednoaktówki p. Madejskiego.

Dla czego Molier?

Klasykl...

??

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

X.

Państwo kasztelanostwo Górnicy.

Kasztelanowa była dzieckiem jeszcze, kiedy rodzice jej, pewni magnaci na Wołyniu, żyli

w największym poróżnieniu małżeńskim. Żona, nie mogąc znieść ucisku domowego, wybrała się tajemnie do rodziny, aby rozpocząć rozwód. Jakkolwiek mąż tyranizował ją, był przecież tklwym ojcem i nie mogąc znieść, aby mu zabrano jedyne dziecko, będące owocem niezgodnego tego stadła, otoczony rzeszą domową, dopędza powóz, eskortowany ludźmi zesłanymi od rodziny uciekającej żony. Zaczyna się bójka, strzały padają, szable błyszczą, wśród zgłębku dopada mąż powozu, a przeklinając żonę, żąda wydania dziecka. Matka odmawia wydania jego, trzyma przyciśnięte do siebie. Ojciec chwytając za rękę i ciągnie zdobycz swoją; matka, ująwszy drugą, nie puszcza; dziecko krzyczy boleśnie, namiętność rośnie w rodzicach, a pośród miotania się i zapalczywości, zapominając wszelkich względów, wyrwywają sobie nawzajem ukochane od obojga dziecię, aż siła ojcowska przemogła. Zaniósłszy do swego pojazdu, wraca do domu — z kaleką! Wyrwana była ręka lewa tak, że już żaden środek lekarski nie naprawił uszkodzenia; stan się krzywił widocznie, cera bladła, a życie nędzne utrzymywała siła organizmu, aby zachować nieszczęsną ofiarę na dalsze pociski losu.

Dojrzała, a ojciec wybrał jej małżonka. Z nim przeżyła spokojnych lat kilka; urodziła córkę i owdowiała. Urządziwszy majątek wołyński, gdzie wszystko jej przypominało nieszczęścia pierwszej młodości, przybyła w Kaliskie odebrać spadła na nią sukcesy; upodobala sobie okolicę i tu zamieszkała. Wszystkie te budowy wzniesione w nowym stylu, są jej dziełem, zażytkiem przodków ten gmach stary, co zasłania widok naprzeciw pałacu; zachowuję tę staroświecczynę jeszcze do czasu, tak jak służyła do użytku właściciela, — a przy okazji zwiedzimy to dawne mieszkanie dla ciekawości, bo niezaprzeczalnie przestarzała budowa.

— Jakież mieli powody kasztelanostwo do sprzedania tak pięknie, starannie i kosztownie urządzonej majątności?

— Co to, to dalszym jest ciągiem historii; kasztelanowa była wdową panią Mierwińską. Kiedy tu osiadła, daleka od rodziny, starała się o plenipotentę, najpierwszy położony warunek, aby był familii znakomitej, co uważała być ręką honoru i uczciwego postępowania; wymagała nadto należytego wykształcenia pod względem prowadzenia zarządu ogólnego, jako też obyczajności towarzyskiej, aby w każdym przypadku mogła być zastąpioną przyzwicie. Znaczne wynagrodzenie doroczne, wygody i uszanowanie domowe przywiązane były do tej posady i nawiasowe zapewnienie dalszych względów, w miarę gorliwości w dopełnieniu przyjętych obowiązków.

Familia Górnickich, znakomita i można, liczyła pomiędzy swymi członkami pułkownika, mniej obdarzonego dobrami doczesnymi. Miał dwie córki i syna. Panny odebrały wychowanie domowe i wzrosły w uczuciach szlacheckiej godności. Nie chcąc ubliżyć dumie familijnej przez ubogie zamężcie, postanowiły zostać pannami, nie mając powołania do klasztornej życia. Zostały więc staremi pannami z przekonania. Bratich, pan Makary, dorodny młodzieniec, odebrał znakomitą edukację, przyjął ją dobrze, bo mając prawdziwe zdolności a mało widoków majątkowych, trzeba było niemi los życia zapewnić; posiadał wiele dworszczyzny; języki starożytnie ułatwiały mu prawnictwo, a francuzki wstęp do wyższego koła społeczeńskiego. Przedstawiony wdowie przez dwóch magnatów, podkomorzego i chorążego tegoż nazwiska, jako krewny, proponowany na plenipotentę, przyjęty został z pochlebnym komplementem i uważany z pewnym szacunkiem. Pani domu zachowała zupełną delikatność, a pełnomocnik najściślejszą rzetelnością odplacał się, odgrywając rolę przyjaciela domu.

— Tak mijały lata. Czyli familia wpływała na postanowienie pana Makarego, czyli to było skutkiem wyrozumowanego własnego planu, zbliżywszy się stopniowo do osoby swej pryncypalki, w ciągu poufnego przedstawienia oświadczył się o jej rękę, zarzekł się, że skoro uzyska pewność fortuny stosownej, otrzyma go-

Wolnym więc krokiem udali się państwo w górę ku pałacowi. Przedsiemek jego wsparty był na czterech kolumnach z greckim frontonem; dwanaście okien miał wrzędzie, pięć kominów wieńczyło gmachu wierzchołek, a sześć mansardowych okien wychylało się z łamanego dachu, jak zakapturzone zakonniki! Sztachety podzielone filarami łączyły ten pałac z oficynami jednakowej struktury; u każdej sześć okien na froncie z wystawą i dwiema mansardami w rzezonym dachu. Przed temi domkami urządzono wzdłuż kanapki darniowe, z których wyrastały strzyżone lipy; były one wieczorną schadzka dla dworskich ludzi, z kądem rozlegały się w powietrzu dawno już w salonach zarzucone śpiewy Kniaznina z muzyką Paesiello, lub arye z oper narodowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TOAST IBSENA.

Związek kobiecy w Norwegii urządził tego lata pamiątkowy obchód dla Henryka Ibsena. Obchód miał miejsce w Chrystyanii w Grand Hotelu, a po wstępnym przemówieniu żony ministra Blehra przesunęło się przed oczami licznych widzów zajmujące widowisko. W wielkiej sali uczyniło się ciemnawo, a w tem półświecie postępowyła zwolna długim szeregiem kobiece postacie z dzieła Ibsena w liczbie 27, a każda z bohatererek, przechodząc koło poety, podawała mu jedną różę i wymieniała swoje imię. Po tym korowodzie prawdziwie artystyczne robiącym wrażenie, przemówiła do znakomitego autora panna Lina Krog, i w gorących słowach dziękowała mu za wielki wpływ dodatni, jaki prace jego wywarły na sprawę kobiecą i jej rozwój. Wśród ogólnego zaciekawionego napięcia, Ibsen odpowiedział w te słowa: „Nie jestem członkiem Stowarzyszenia ruchu kobiecego. Wszystko, co utworzyłem, nie wyszło z obmyślanej jakiejś tendencji. Jestem więcej poetą niż filozofem społecznym, jak to mi ogół chętnie przypisuje. Dziękuję za toast wzniesiony, ale muszę zrezygnować z zaszczytu, jakobym ze świadomością sprawę niewieścią popierał. Co prawda, nie mam dość nawet jasnego pojęcia, co właściwie znaczy sprawa niewieścia. Dla mnie istnieje tylko jedna sprawa — ludzka, i kto uważnie czyta moje dzieła, zrozumie to od razu. Jest niezawodnie wielce pożądanym, aby obok innych zagadnień i kwestya kobiet była rozwiązana, ale to nie było jedynym moim celem. Mojem zadaniem było przedstawić ludzkość. Jeśli się to udało tylko częściowo, czytelnik dorzuca swe własne wrażenia i nastroje. To i tamto przypisują poecie; ale nie, tak nie jest. Każdy wedle swej indywidualności przedzie coś dookoła rzeczy ładnie i subtelnie, bo nietylko ci którzy piszą, ale także i ci, którzy czytają — tworzą i są tem samem współpracownikami natchnienia. Często-kroć są czytelnicy poetyczniejsi od samego wieszca. Pozwalam sobie podziękować, wznosząc ku mnie wzniesiony toast z pewną zmianą. To bowiem widzę jasno, że kobiety do niniejszego należącego związku, mają na różnych polach wielkie zadanie do spełnienia. Stowarzyszeniu kobiet wnoszę toast dziękczynny i życzę mu szczęścia i postępu. Odezuwałem zawsze jako moje zadanie, podnieść nasz kraj i ludowi wyższe stanowisko wywalczyć. Tutaj przedewszystkiem niezbędnymi okazują się dwa czynniki: do matek należy przez usilną i powolną pracę, obudzić samowiedne poczucie kultury i — karność. To musi koniecznie zostać w człowieku powołaniem do życia, zanim się uda podnieść wyżej lud. Kobiety muszą rozstrzygnąć sprawę ludzkości, jako matki muszą to uczynić, i tylko jako matki mogą tego dokonać. W tem spoczywa wielkie zadanie kobiety. Dziękuję i cześć stowarzyszeniu sprawy niewieściej!“

Tyle powiedział Ibsen. Na jego ostatnie wy-niki każda z kobiet niezawodnie się zgodzi. To tylko nieco zadziwić może, że autor, który tak jasno zdaje sobie sprawę z poszczególnych idei, prądów, czynników, wstrząsających obecnie ludzkością, przyznaje się, że jasno sprawy niewieściej nie rozumie. Świat kobiecy badał dotychczas jednostronnie, chwytając te jego opinie, które się łączy ściśle z łańcuchem wszechrzeczy społecznych, a nie dotarł tam, gdzie łańcuch ten ciąży na kobiecych ogniach fatalnością wiekowych pomyłek prawa i egoizmu. W niedalekiej przyszłości damy czytelnikom naszym krytyczny przegląd ibsenowskich typów kobiecych, które nam najlepiej wypowiedzą same, o ile słynny autor naszą duszę odczuł, zgłębił i odtworzył.

Szczęśna.

PRZY MASZYNI.

Szyje dziewczę na maszynie
Kolorowe, barwne szmatki —
Oczy błyszczą jak bławatki,
Jak sznur pereł — tak ścieg płynie.

Szyje dziewczę na maszynie
Oczy błyszczą jak bławatki,
Za grosz świeży będą kwiatki
Marzy dziewczę — a ścieg płynie...

Szyje dziewczę na maszynie
Warczą koła, klekczą płatki,
Będzie wianek na grób matki...
Na łzy zbiera się dziewczynie...

Marzy dziewczę — będą kwiatki —
A ból w głębi serca kryje
Cóż? czas nagli... dziewczę szyje,
O mogliście myśleć matki!...

Szyje dziewczę na maszynie
Warczą koła, klekczą płatki,
Oczy błyszczą jak bławatki,
Jak sznur pereł — tak ścieg płynie...

Wł. Pobóg-Bielicki.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

ARCYDZIEŁO

dramat w pięciu aktach.

(Dokończenie).

AKT V-ty.

(Pokój Anety, z kobiecą starannością urządzony. Dwoje drzwi. Wprost widzów kotara, za którą we wnętrzu widać białą pościel łóżka. Przy wysuniętej szufladzie komody klęczy Aneta, oparta ręką o jej brzeg, w nieruchomym zamysleniu. Koło Anety stoi Justysia. Chwila milczenia).

Justysia. Czy paniusia nie da mi dzisiaj obrusa?... (Milczenie. Aneta nie zmienia pozycji. Justysia wzrusza ramionami). Paniusiu! (Milczenie. Justysia parska śmiechem).

Aneta (budząc się). Czego, ty się śmiejesz?
Justysia. Bo paniusia niby śpi... Ja wołam paniusiu! a paniusia nie... Wysunęła szufladę i ani ręką ruszy, a trzeba stół nowym obrusem nakryć, bo tamten obrus pan stary tak poplamiał, że poprostu wstyd go kłaść już. Wino rozlał, sos z kotletów także, — nigdy jeszcze tak staremu panu ręka się nie trzęsła, jak dzisiaj przy obiedzie. Pan pewnie niezdrow, prawda paniusiu!...

Aneta. Nie wiem.

Justysia. Jaki? paniusia nie wie!

Aneta. A zkadże wiedzieć mogę?

Justysia. Żona? i nie wie co swemu chłopu je!

Aneta (wstając szybko). Żona!.. (przygryzając wargę), tak — tak — tak — masz słuszność Justysiu! Ale co tobie do tego, wiem czy nie wiem... Mam — że wszystko przed tobą mówić?

Justysia. Niby ja i bez tego nie świadoma, co pan stary robaka jakiegoś nosi w sercu. (Aneta siada). Pochylił się, posmutniał, do fortepianu nawet nie siadł a mnie ani razu nie powiedział: jaka ty głupia, Justys! Musi być chory — to widno!

Aneta. Tak — teraz u nas dziwnie cicho. Alf do fortepianu nie zbliża się prawie...

Justysia. A widzi, paniusiu! Dawniej to pan na fortepian patrzył jak ja, na andruta, a teraz zbliży się, popatrzy, zatrząsie się dziwnie i odchodzi.

Aneta. Biedny Alf!

Justysia. A kiedy grał, to jakości weselej było.

Aneta. Weselej... (wstaje) i lepiej było!

Justysia. Dla czego pan teraz nie gra?

Aneta. Znów śmiać się będziesz ze mnie: nie wiem, Justysiu!

(Opiera się kolanem o sofę, ręką o poręcz i wpatruje się w okno).

Justysia (tajemniczo). Czy wie, paniusia, co ja paniusi powiem?

Aneta (zapatrzona w dal). Co ty mi powiesz?

Justysia (j. w.). Wczora, kiedy już wszyscy położyli się spać, kiedy pan stary do siebie poszedł, pani do siebie a ja do kuchni — w kurytarzu coś chodzić zaczęło, zatrzymując się raz w raz koło drzwi pokoju paniusi.

Aneta. To ci się wydało, Justysiu (siada).

Justysia. Niechno paniusia słucha...

Aneta. Drzwi od mego pokoju były zamknięte.

Justysia. To też może dlatego i nie weszło...

Aneta. Strach jakiś...

Justysia. Gdzie tam strach. Pan Zygmunt!

Aneta (zrywa się). Pan Zygmunt?

Justysia. Ja jego widziała tak, jak paniusiu teraz widzę.

Aneta (oddychając szybko). Daj mi szklankę wody... (Justysia idzie do małego stolika i nalewa wodę z karafki — Aneta niespokojnie). Drzwi zawsze zamykam — ale... może wiatr je otworzyć, może zamknąć zapomnę, może ręka wymówi posłuszeństwo i nie obróci się klucz w zamku. Każę Justysi u progu spać... Boże! co ja cierpię!... (Justysia daje wodę — Aneta drżącą ręką bierze szklankę i pije). Dziękuję ci, Justysiu!.. (Justysia odnosi szklankę i wraca). Czy pan Zygmunt widział ciebie?

Justysia. A widział.

Aneta. Mówił co?

Justysia. Mówił, że chciał się wody napić, bo niby u siebie nie znalazł (śmieje się).

Aneta. Dla czego ty się śmiejesz, Justysiu?

Justysia. Bo ja wiem, proszę pani, że woda była.

Aneta. Może szklanki zapomniałaś postawić...

Justysia. Nie zapomniała, paniusiu — nie!

Aneta. Może...

Justysia. E, proszę paniusi — panicz nie szklanki szukał... Chodził — wracał... (śmieje się). Czy ja wiem!

Aneta. Zamykaj-no dobrze drzwi od kuchni, Justysiu!

(Podchodzi, ślaniając się do okna).

Justysia (d. s.). O, o—tam pewnikiem nie przyjdzie, bo ja bym go tak pogrzebaczem zajechała, że i ocukrzonej odechciało by mu się wody... (Patrzy na Anetę, porusza głową znacząco i podchodzi do pani). Paniusiuniu!

Aneta. Jak ty mnie męczysz, Justysiu!

Justysia. O, la Boga! co paniusia dzisiaj taka nie swoja?

Aneta. Czego chcesz?

Justysia. A po co ja do paniusi przyszła, jeżeli nie po obrus?

Aneta. Weź go sama... Tam, z lewej strony szuflady znajdziesz.

Justysia (szukając w szufladzie). Jest dwa—który wziąć paniusiu?

Aneta. Wszystko jedno.

Justysia. Jeżeli syćko jedno, to dobrze!

Aneta (d. s.). Żelazo w ogniu się hartuje—czasem topi się, czasem pęka, czasem w niezłomną stal się przemienia. O! duszo moja—jaką ty wyjdiesz z tego otaczającego cię morza ognia?

(Słychać pukanie do drzwi, ostrożne bardzo. Aneta szybko odwraca się od okna, Justysia podnosi się z obrusem w rękę, zasuwając szybko szufladę).

Głos Zygmunta. Czy wolno?

Justysia (podbiega do Anety). Panicz! Czego pani tak pobladła?...

Aneta. Wszystko dziś ci się przywiduje, Justysiu.

Głos Zygmunta. Pozwoli pani na chwilę rozmowy?

Aneta. Nie odchodź, Justysiu... (gł.). Proszę...

(Wchodzi Zygmunt).

Zygmunt. Dzień dobry, pani (podaje rękę).

Aneta. Dzień dobry panu!

Zygmunt. Chciałbym z panią pomówić...

Aneta. Ja z panem.

Zygmunt (ciszej). Nie jesteśmy sami...

Aneta. Wyjdź Justysiu do drugiego pokoju, nie odchodź tylko od drzwi, byś mogła przyjść na zawołanie.

(Justysia wychodzi).

Zygmunt. Otaczasz się pani strażą.

Aneta. Mam żal do pana.

Zygmunt. Ja mam żal do wszystkich ludzi.

Aneta. Widziałeś pan Alfa?

Zygmunt. Na Boga!... nie mówmy o nim tylko!

Aneta. A jabym chciała mówić tylko o nim, mieć go na myśli ciągle, mieć przed oczyma swojemi, bo inaczej.. nie mogłabym mówić z panem.

Zygmunt (znacząco). Inaczej—nie mogłabym pani mówić ze mną.

Aneta. Na nic by się kłamstwo nie przydało... pan dobrze sam wiesz o tem.

Zygmunt. Aneto!

Aneta (cofając się). Nie—nie...

Zygmunt. Nie!... wiecznie jedno i to samo—nie!... Dobrze więc!... Walczyć będziemy oboje i oboje—przegrywać!

Aneta. Pan mi coś mówić miałeś...

Zygmunt. Słowa się już na nic nie zdadzą... Przyjdzie chwila milczenia, ciszy ogromnej, w której znika pamięć, wola, samowiedza czynów a panuje tylko pragnienie szczęścia. Wtedy bez słów wypowiem ci wszystko, wtedy nie będziesz o nic mnie pytała a pojmiiesz wszystko!

Aneta. Dla czego pan nie rozumiesz męczarni mojej, tego śmiertelnego szamotania się między obowiązkiem a...

Zygmunt (radośnie). A?...

Aneta. Nie ciesz się pan—jestem silna.

Zygmunt. Ja jestem wytrwały.

Aneta. Widzę to...

Zygmunt. Sile czy wytrwałości zawierzasz pani więcej?

Aneta. A gdybym powiedziała: wierzę—panu!

Zygmunt. Nie... nie!... Oplotłyby ciebie ramiona moje, pocałunki spaliły, zastukałoby serce jak dzieciół, szukając twojego serca, owiałby pożar krwi... Nie!—ty mi nie wierz—pani!...

Aneta (ogładając się). Ciszej—ciszej!...

Zygmunt. Nie przywołuj ciszy—w ciszy jest zdrada!

Aneta. Zdrada jest wszędzie... w tobie, we mnie, w tym zmroku zapadającym, słowo zdradza, myśl zdradza, własne serce zdradza (chwieje się).

Zygmunt (porywa jej rękę). Moja! moja!

Aneta. Al! co za szum, jakby się fale morza aż tu wylały!

Głos Aleksandra. Alfie!

Zygmunt (opuszczając rękę Anety). Al!

Aneta (nieprzytomnie). Dzwony gdzieś biją... dzwony, dzwony...

Głos Aleksandra. Żona ci słowa moje potwierdzi...

Aneta. Dzwony!...

Zygmunt. Opamiętaj się, pani—idzie Alf!

Aneta (budząc się). Aa... Sam mnie budzisz do życia tem imieniem:

Zygmunt. Widzisz jak jesteś słaba, jak mnie kochasz do utraty pamięci. Lękaj się ciszy—ona cię zdradzi, lecz przyjdzie sama a ja swych ramion nie cofnę... Nie dla ciebie zwiedle usta Alfa, różo czarodziejska! do słońca i promieni stworzony kwiecie!...

(Wybiega).

Aneta. Zbrodnią jest miłość?... Nic nie wiem, nie nie rozumiem—nie... nie... (Wchodzi Alf i Aleksander). Przybywaj, spokoju! przybywaj, umykająca wciąż siło!...

Aleksander. Czy widzisz, pani, jak ugiął się pod brzemieniem słów Zygmunta?

Alf. Ostatni sen przysnął!...

Aneta (przeżrana d. s.). Jak on się zmienił okropnie!...

Alf. Ostatni sen!

Aneta (jak echo—cicho). Ostatni sen—

Alf. Gruzy—ruina—popioły... (siada z pomocą Aleksandra).

Aneta (kleka przy nim). Alfie!

Alf. Złamany jestem!

Aneta. I nie masz już innych słów? i nie masz już innej miłości?...

Alf. Widzisz, Neto... tamta wynikiem była tej, o której ty mówisz w tej chwili. Zdawało mi się, że kochałem ciebie tak jak anioł kocha białość ludzkich myśli; to, com stworzył, było tej miłości owocem. Wielkość wielkość spłodzić tylko może—tym czasem... Dzieło wyszło nędzne, lichy, bo nędzną i lichą ta miłość moja być musiała... A ja się łudziłem, że tak kochałem ciebie, Neto!... Nie tamto mnie męczy, mnie męczy to oszukaństwo tego starego serca.

Aneta. Alfie!

Alf. Wstań, Neto!...

(Aneta wstaje i opiera się o fotel Alfa).

Aleksander. Uwierzyłeś słowom rzuconym na wiatr. Zkąd wiara taka w nieomyślność twierzeń Zygmunta? Niechby dotknął klawiszów, zagrał a wtedy sąd wydał.

Aneta. Tak—tak... Przypomnij Alfie, że pan Zygmunt nie spojrział nawet na nuty, które wziął do rąk.

Alf. Grał—grał... Wy o tem nie wiecie, ale ja wiem, że grał!... Gdym wyszedł złamany

i sam został... do moich uszu doszły dźwięki... (tłumiąc łzy) tego arcydzieła Alfa!... (wstaje). Podnoszę się, słucham... Ha! tony biegły pełne, ogromne, potężne... Nagle urwały się...

Aleksander. I cóż?

Alf. Mistrz taki, znawca taki, jak on—nie urwałby w pół taktu, gdyby tam moc była, piękno było! Dla czego on grać przestał?... Bo nie dojrzał nic—nic—nic... a ja myślałem, że duszę całą tam włożył!

Aleksander. Mówiłeś z nim potem?

Alf (siadając). Nie... Przy spotkaniu schyliłem czoło, palił mnie wstyd jakiś, ból łamał... (wstaje). Neto! dla czego ja ciebie tak mało kochałem!...

Aneta (podchodzi). Alfie!

Alf (placząc). Dla czego ja ciebie tak mało kochałem!... (tłumi ryk płaczu)

Aleksander (do Anety). Czy ci się pani serce nie kraje?

Aneta. Czy pan wiesz, co jest w moim sercu?

Alf. A jednak... gdy zabrzmia mi w duszy dźwięki te ukochane, zdaje mi się, że jakaś ogromna omyłka się stała... Ale dla czego on grać przestał? Dla czego wstał tak szybko, że słyszałem ruch odsuwającego krzesła; dla czego cisnął nuty o ziemię?...

Aleksander. Aa!

Alf. Co?...

Aneta (z trwogą). Byłażby to zawiesz?...

Alf. Co wam się roi? co wam się roi? Zawiesz? Wy nie a nic mojego Muntka nie znacie... Nie! daremna pociecha! Powiedziałem ci już raz kiedys, Olesiu: starość nie zna uniesień, nie zna zapalów, nie wydzwoni pieśni królewskiej...

Aleksander. Podnieś się duchem, Alfie! we własną uwierz siłę... Patrz! wieczorny zapada zmrok, ziemia senną odzywa się pieśnią—zapamiętaj nad tą pieśnią ziemi!

Alf. Nie dotknę strun...

Aleksander. Chodź ze mną! (prowadzi go).

Alf. Nie dotknę strun....

(Wychodzą).

Aneta (sama). Wieczorny zapada zmrok, ziemia senną odzywa się pieśnią... (Idzie do okna). Błady księżyc patrzy przez liście drzew.. (otwiera okno). Jaki róż zapach! Och! jak chciałaby pierś pełnem powietrzem odetchnąć.

(Wchodzi Justysia z lampą zapaloną).

Aneta (obraca się). Wynieś tę lampę!

Justysia. Nie trzeba, paniusiu!

Aneta. Ta lampa, którą Bóg na niebie zapalił, piękniejsza...

Justysia. Księżyc?

Aneta. Tak—księżyc, Justysiu!...

(Justysia dmuchnięciem gasi lampę i wychodzi. Błady promień księżycy pada na twarz Anety. Słychać śpiew słowików).

Aneta. Jaki róż zapach!... Na różach łzy—to rosa tak świecić musi... Słowiki wyzwały się na turniej pieśni, aż drży powietrze od gwizdań, aż róże się chwieją! Dla czego te słowiki tak śpiewają? dla czego te róże tak pachną? (Wchodzi Zygmunt). Róża kocha i słowik kocha! Wszędzie miłość, miłość i miłość!

(Placze).

Zygmunt (szepcem, schylony nad nią). Wszędzie miłość, miłość i miłość!...

Aneta (obraca się i wyciąga ramiona). Zygmun-cie! (oplata mu szyję).

Zygmunt. Zwyciężyła muzyka krwi, pieśń ziemskiej rokoszy! (Unosi ją ku kotarze). Słowiku mój, moja różo!...

(W tej chwili słychać za sceną potężne akordy pieśni Alfa rozplywającej się w dźwięki cudnej piękności).

Aneta (jakby zbudzona). Alf gra!

Zygmunt. Dla czego wyrwywasz się z objęć moich?

Aneta (chwytając się za głowę). Alf gra ostatnią pieśń szczęścia, szczęścia, które ja mu dałam i które dziś wyrwywasz niegodnie?

Zygmunt. Aneto!

Aneta (z krzykiem). Alfie! Alfie! Alfie!... (biegnie).

Zygmunt. Co? on zwyciężył? (podbiega do Anety. Wchodzi Alf).

Alf. Dla czego tak krzyknęłaś, Neto?

Aneta (przypadając mu do ramion—ze strachem). Trzymaj mnie... nie puszczaj mnie... broń mnie!

Alf. Co ci jest? co to się stało?

Aneta (z trwogą). Czy słyszysz?

Alf (nasłuchując). Kroki...

(Wchodzi Aleksander).

Aneta (nie widząc go). Idzie duch potępienia z podszeptem do grzechu...

Aleksander. Tylko przyjaciel wasz—lecz z wieścią straszną.

Alf i Aneta. Co?

Co?...

Aleksander. Baron w przystępie szału wpadł do pokoju żony swojej i—zamordował ją!...

Aneta. Jezul!

Zygmunt. Zamordował?

Aleksander (mierząc go oczyma). Za-mor-dował!

(Zygmunt chwieje się).

Alf. Dla czego ty się słaniaasz Muntku...

(Aleksander nie spuszcza oczu z Zygmunta).

Zygmunt. Spytaj dla czego w słup nie runąłem?

Alf. Co on mówi? (Do Aleksandra). Dla czego ty tak patrzysz na niego? (milczenie).

Aleksander. Muntku...

Zygmunt. Ha!

Alf. Co—co?

Zygmunt. Wiedz jedno tylko, że uratowało ciebie, ja i mnie—twoje arcydzieło! Żegnaj. Alfie!

Alf. Co ty mówisz? Dokąd ty iść chcesz?

Aleksander. Nie zatrzymuj go!

Alf. Muntku—dziecko moje!...

Zygmunt. Zabiałaś się dla mnie progi twojego domu. Żegnaj.. Alfie! (wybiega).

(Alf stoi jak nieprzytomny, później budzi się w niem jakaś myśl straszna—blednieje).

Alf (gładząc czoło). Aaa!... Neto!—ty... on...

Aneta (w ramiona mu się rzuca). Nie—nie—nie! Padam na pierś twą czysta, zwycięzka, twoja do grobu i za grobem!

Alf (tuli ją). O, Neto—Neto—Neto!...

(W powietrzu daje się słyszeć rozwiana pieśń arf. Alf stoi w zachwycie, łowiąc uchem czarowne dźwięki swej pieśni).

Kurtyna powoli zapada.

K O N I E C.

Z AMERYKI.

Nowy-York, we Wrześniu.

W mieście Denver w Ameryce, młoda, bogata wdowa John Ellitsch, posiada swój własny bardzo piękny ogród zoologiczny, któremu równego nie ma podobno w całym świecie. Ogród ten, łączy w sobie wszystkie specjalne urządzenia zoologicznych ogrodów w Londynie i w Antwerpii, a właścicielka, która się zna wybornie na kupnie dzikich zwierząt i sama je trysuje i karmi, słynie już jako specjalistka w swoim rodzaju i znawczyni najosobliwszych okazów i gatunków. Układanie i poskramianie zwierząt doprowadziła pani Ellitsch do doskonałości. Jeździ np. sama wolancikiem, zaprzężonym w przepyszny strusia, posłusznego każdemu skinieniu pięknej swej władczyni, która jest w swym mieście sympatyczną i bardzo popularną osobistością, a w znawstwie zwierząt często do rady zapraszana specjalistką.

Tłumy ludzi ściągnęły kilka dni temu ciekawe widowisko nad brzeg morski Nowego Yorku, gdy młoda żeglarka nadpowietrzna Anna Christiansen wlatywała balonem w górę. Na cześć zwycięskiego powrotu okrętów wojennych przyozdobiono w chorągwie i flagi o barwach narodowych, a żeglarka, wzbijając się w powietrze, rzuciła małe gwiazdki, które ciekawy tłum rozchwytywał i do ubrania sobie przypinał. Gdy balon wzleciał na kilkaset stóp, żeglarka usiłowała rzucić się na dół za pomocą spadochronu.

Widzowie mogli z dołu każdy jej ruch obserwować. Odwiązała spadochron przymocowany

do trapezu, uchwyciła oburącz rękojeść tegoż i rzuciła się w dół, aby po otwarciu się parasola powoli się spuścić. W jednej chwili posłyszano głośny okrzyk, spadochron nie chciał się otworzyć i żeglarka przeleciała z niesłychaną szybkością w dół, spadła na kilkaset kroków od brzegu morza, Kilku mężczyzn rzuciło się do wody i znalazło ciało nieszczęśliwej. O ratunku nie było mowy. Żeglarka zabiła się na miejscu.

Do pani Modrzejewskiej, która, jak wiadomo, jest tu obecnie dyrektorką jednego z teatrów, zgłosiła się niedawno córka najbogatszego milionera amerykańskiego mis Manol Northam, aby pobierać lekcyje sztuki dramatycznej i tej karyerze się poświęcić. Panna Northam liczy 18-letnią wiosnę. Ojciec niepokieszony z tego postanowienia córki, odmówił jej wszelkiej materyjalnej pomocy i postanowił ją wydziedziczyć.

Znana w arystokratycznych sferach Nowego Yorku wdowa po ekscentrycznym milionerze Jerzym Law, kobieta młoda, piękna i wykształcona, pozyskała serce szczególniejszego adoratora. Jest nim indyjski książę Maharajah z Kapurthali, który zapłonął taką dla niej miłością, że jej całkiem seryo proponuje małżeństwo, błagając ją, aby została perłą jego seraju, innemi słowy, 51-szą jego żoną. Mrs Alga (takie jest imię pięknej pani) poznała księcia kilka miesięcy temu w Paryżu, gdzie obecnie od pół roku przebywa. „La belle Américaine“, jak zwyczajnie czarująco wdowę w willi „Lumière“ nazywają, kazała się sławnemu malarzowi portretować. W atelier zjawił się pewnego dnia także Maharajah z Kapurthali i zakochał się po uszy w pięknej pani. Kupił natychmiast dwa obrazy za niesłychaną cenę od malarza i otrzymał w zamian przyrzeczenie, że zostanie czarującej damie przedstawiony. Prezentacja niebawem nastąpiła i po krótkiej znajomości oświadczył się.

Pani Law zwróciła jego uwagę, że posiada już dość żon, odparł jej jednak, że to nic nie szkodzi, są to bowiem jego zdaniem pewnego rodzaju niewolnice, podczas gdy piękną Amerykankę pragnie podnieść do godności swej pani. Amerykanie bawiący w Paryżu utrzymują uparcie, że pani Law indyjskiego księcia sama do tych oświadczeń ośmieliła. Zdaje się, że powodem do tej kokieterii była wspaniała kolekcya indyjskich klejnotów, które olśniły mrs Law, i bajeczny przepych, jakim ją książę przyrzeka otaczać. Jeśli w rzeczy samej piękna Amerykanka odda swą śliczną rączkę Maharaj, to otrzyma na własność osobistą część jego klejnotów wartości około 20 milionów rubli, co jej własny wielki majątek jeszcze o dwie trzecie części powiększy.

Do niniejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się koniec nowelli p. t. **Latawiec** i początek powieści p. t. **Dla sztuki** arkusz 1-szy i 2-gi.

Treść: Plamy na sercu, przez Szczęsną.—Do..., przez Zofię Biesiadzką.—Pogawędka, przez ??—Pamiętniki Adaminy z Bielskiej Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—Toast Ibsena, przez Szczęsną.—Przy maszynie, przez Wł. Pobóg-Bielickiego.—Kazimierz Gliński. **Arcydzieło**, dramat w pięciu aktach (dalszy ciąg).—Z Ameryki.

Dodatek obejmuje: *Latawiec*, nowella przez H. Castelnovo. *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkusz 2-gi. —Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 30 Сентября 1898 г.